

Generalnie godne pochwały jest traktowanie na serio przedwyborczych obietnic przez partię wygrywającą wybory. Gorzej jeśli są to obietnice rzucane w ramach doraźnej licytacji i magii cyfr. Wówczas realizacja obietnicy może być bardziej szkodliwa niż jej zarzucenie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tak właśnie może być z zapowiedzią podniesienia kwoty wolnej od podatku do kwoty 60 tys. zł.

Nie oszukujmy się – gdy kwota ta padła w toku kampanii wyborczej nie miała żadnej podbudowy ekonomicznej. Po prostu była to dwukrotność tego, co zostało przyjęte przez Prawo i Sprawiedliwość. Nieco zaskakująca była w tej sytuacji wypowiedź Ministra Finansów, iż „60 tysięcy będzie dowiezione”.

Tylko dlaczego 60 tys., a nie 40 tys., 55 tys. albo 62,75 tys. zł? Nie ma nic złego w istnieniu kwoty wolnej od podatku, ale powinna mieć ona uzasadnienie ekonomiczne, a nie polityczne. Arbitralnie przyjęte kwoty prowokują bowiem do ich swobodnego przesuwania. Uzasadnione byłoby natomiast przyjęcie, że państwo nie pobiera podatku od kwot, które są niezbędne do godziwego przeżycia. Miara takich kwot może być minimum socjalne obliczane kwartalnie przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych. Jak głosi nauka minimum socjalne to wzorzec konsumpcji niezamożnych gospodarstw domowych, w którym przewidziano taki zakres i poziom zaspokajanych potrzeb, aby osobom w gospodarstwie na każdym etapie ich rozwoju umożliwić reprodukcję sił życiowych, posiadanie i wychowanie potomstwa oraz utrzymanie więzi społecznych. Kwota wolna od podatku dochodowego mogłaby być zatem równa dwunastokrotności minimum socjalnego dla jednoosobowego gospodarstwa pracowniczego. Minimum socjalne jest liczone dla gospodarstw pracowniczych i emeryckich o różnej liczbie osób – to zaproponowane jest najwyższe per capita i dla III kwartału 2023 roku zostało oszacowane na kwotę 1.728,17 zł miesięcznie, czyli 20.738,04 zł rocznie. Przyjęcie takiej kwoty oznaczałoby sprawiedliwe przyjęcie, że państwo opodatkowuje dopiero środki ponad poziom niezbędny do zaspokojenia potrzeb życiowych pracownika na godziwym, choć skromnym poziomie.

Zamiast tego dowieziona ma być kwota prawie trzykrotnie wyższa. Warto bowiem sobie uświadomić o jakiej kwocie mówimy. Minimalne wynagrodzenie za pracę od lipca br. wyniesie 4,3 tys. zł brutto. W skali roku wynosi to 51,6 tys. zł – a zatem niżej niż ma wynieść kwota wolna od podatku. W rzeczywistości kwota wolna jest liczona nie od przychodu, ale od dochodu, co oznacza że w rzeczywistości rozbieżność jest jeszcze większa. Można z pewnym przybliżeniem przyjąć, że wszyscy, którzy obecnie zarabiają nie więcej niż 120% pensji minimalnej nie zapłacą podatku dochodowego. Tymczasem – jak wskazują szacunki Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej – na pensji minimalnej zatrudnionych jest około 3,6 mln pracowników (na ogół 13,5 mln zatrudnionych). Dowiezenie kwoty wolnej od podatku na poziomie 60 tys. złotych oznacza zatem całkowite zwolnienie z opodatkowania przeszło ¼ pracowników – i oczywiście odpowiednie zmniejszenie obciążenia podatkowego pozostałej części. Przy uwzględnieniu obowiązujących ulg i zwolnień w praktyce oznacza to drastyczne obniżenie wydajności PIT jako źródła dochodów.

Jest to jednak o tyle poważnym problemem, że PIT stanowi (a może należy już mówić stanowił) jedno z podstawowych źródeł dochodów własnych jednostek samorządu terytorialnego – zwłaszcza jeśli mówimy o powiatach. Oczywiście udziały w podatkach dochodowych – zarówno od osób fizycznych, jak i od osób prawnych – są bardzo ułomnym dochodem własnym – zwłaszcza po zmianach uniezależniających ich wysokość od faktycznego wykonania w danym miesiącu. Niewątpliwie jednak jest to dochód powiązany z wysokością lokalnej bazy podatkowej.

Minister Finansów niestety nie zająknął się za pomocą jakich narzędzi zamierza wyrównać uszczerbek w

Kategoria: Felietony

Opublikowano: poniedziałek, 22, styczeń 2024 15:29

Grzegorz P. Kubalski

Odsłony: 806

---

dochodach jednostek samorządu terytorialnego. Dochodach służących co do zasady wykonywaniu usług publicznych na rzecz mieszkańców. Wątpię, aby odbyło się to poprzez nowy podatek lokalny albo podniesienie poziomu opodatkowania dotychczasowymi podatkami lokalnymi. W najlepszym razie skończy się to na zwiększeniu skali transferów z budżetu państwa do budżetów jednostek samorządu terytorialnego. Transfery takie będą jednak najprawdopodobniej zależały nie od utraconego potencjału dochodowego, ale od potrzeb wydatkowych – a zatem będą osłabiały samorządność rozumianą jako zaspokajanie zbiorowych potrzeb przez wspólnoty terytorialne ich własnym staraniem i na własną odpowiedzialność. Wątpię, aby „dowiezienie 60 tys.” było tego warte.